

Wieś na kresach - jakich wiele. Ojciec mój właściciel 35 ha gospodarstwa uważany jest za "kułaka" czyli bogacza. W jawny już konflikt z władzami wchodzi z chwilą, gdy odmawia oddania swojej ziemi do kołchozu i jeszcze śmie innym gospodarzom to samo doradzać. Dodatkowe obciążenie stanowią fakty, iż jest członkiem AK oraz nie wpłaca na czas zbyt wysokich podatków do skarbu państwa.

26 listopada 1948 roku NKWD dokonuje aresztowania całej naszej rodziny, w skład której wchodzi: ojciec, matka, trzy córki /w tym pisząca te słowa/, brat dorosły i dwóch małych braciśków 12 i 10 lat. Całe mienie zostaje poddane konfiskacie.

Najmłodsi z rodziny - wspomniani wyżej bracia /12 i 10 lat/ pozostają sami na gospodarstwie. Są za młodzi na wywóz do obozu, a w domu dziecka nie ma miejsca dla "wrogów ojczyzny" jak ich określa się. Przez dwa lata pozostając bez żadnej opieki, żywią się tyxxx resztkami tego, co pozostało w zamożnym niegdyś gospodarstwie. Dopiero po kilkakrotnych interwencjach kierownika miejscowej szkoły u władz - dzieci są zabrane do domu dziecka. Przedtem jednak są dotkliwie pobici kolbami karabinowymi po głowach, w wyniku czego młodszy dostaje się do szpitala.

Następuje dowóz na śledztwo pozostałych członków rodziny. Jazda odkrytym samochodem dziesiątki kilometrów z powiatu do województwa. Jest bardzo zimno. Jedzie z nami również moja siostra w ósmym miesiącu ciąży oraz jej mąż.

Na punkcie śledczym panuje głód i chłód, ogólne zawżenie, całkowity brak sił. Z trudem wlokę się na codzienne śledztwo, aby odpowiadać wciąż na te same pytania. Możliwa jest pomoc z zewnątrz, ale nam nikt jej nie udziela w obawie o własny los.

Mam wówczas zaledwie 15 lat. Mój śledczy jest w miarę sympatyczny. Wypytuje o wszystko dokładnie i czasem widząc przed sobą moją drobną, słabą postać - oddaje swoje śniadanie. Straszy, że gdy dostanę 25 lat wyroku to po wyjściu będę już babcią. Za chwilę jednak pociesza, że pewnie aż tyle nie będę siedziała.

U siostry jest wzrost przeciwnie. Jej śledczy bije ją niejednokrotnie. Wychodząc z pokoju przesłuchań ostentacyjnie wyrzuca niedojedzone resztki śniadania do kosza, by po powrocie sprawdzić, czy ich nie ubyło. W razie zabrania ich przez wygłodzoną przesłuchiwaną kara za to biciem.

Sądzi się masowo po 60 osób. Rozprawa trwa 2 tygodnie, po czym zostajemy wtrąceni do ciężkiego więzienia w miejscowości Mogielowo na Białorusi. Na skutek masowych aresztowań często spotyka się tu niespodziewanie kogoś z rodziny.

Spimy na cementowej podłodze poukładani ciasno jak przysłowio "śledzie w beczce". Nie można się przekręcić na drugi bok, żeby nie stracić cennych kilku centymetrów powierzchni. Na obiad otrzymujemy przeważnie kąstę /zupę/ ze "skwarkami" jak nazywamy pływające w znie robactwo. Dla odmiany bywają też rybne głowy jakby nadziewane robakami. Wszyscy mamy wspólne marzenia - najeść się do syta chleba. Niewielką dzienną jego porcję połyka się odrazu.

Pewnego dnia, a była to Wielkanoc, strażniczka narażając się na srogi represje podaje mi w drodze wyjątku dodatkową porcję chleba, ofiarowaną mi z racji święta przez moją matkę, odbywającą karę w sąsiedniej celi.

Otrzymuję wreszcie wyrok na 25 lat obozu. Współtowarzyski

proszę, by mnie jak najszybciej tam zabrano, ponieważ jestem prawie naga. Panuje bowiem tu zwyczaj, że na specjalnie do tego celu przystosowanych, nieskomplikowanych urządzeniach, składających się z ~~prężek~~ z podgrzewanych rur - praży się skutecznie wszy. Widocznie czynię to zbyt gorliwie, gdyż mój skromny przyodziełek przypala się razem z nimi.

Po roku tej straszliwej wegetacji wywożą mnie do obozu. Najpierw jednak - na przesylny punkt do Orszy, gdzie spotykam matkę i dwie siostry. Siostra z urodzonym w międzyczasie niemowlęciem zostaje przeniesiona do innej celi. Niemowlę po kilku miesiącach umiera.

Spimy pod zajętymi już, opleśniałymi pryzkami, na gołym cemencie bez żadnej pościeli. W jednym dużym pomieszczeniu odbywa się mycie, przepieranie garderoby, spanie i ... zaspokajanie swoich fizjologicznych potrzeb. Stąd powietrze ciężkie, smrodliwe, nie do zniesienia. Bezkarnie lęgną się olbrzymie szczury, na pierwszy rzut oka bardziej podobne do kotów. Jestem ubrana w długą, podarowaną mi przez współwięźniarkę koszulę, obciętą na dole znalezionym kawałkiem szkła i w również podarowanych przez kogoś litościwego a otrzymującego paczki - pończocach. Ale jest nadzieja na polepszenie sytuacji: W obozie podobno dostaje się ubranie.

Po dwóch tygodniach następuje rozłaka z bliskimi bez pożegnania. Wywożą kolejno. Znajduję się nagle sama wśród tłumu jeńców niemieckich. Trwa sprawdzanie akt. Do dziś zastanawiam się, co miał na myśli naczelnik punktu, gdy stwierdził pod moim adresem: "Szkoda, że ciebie nie rozstrzelano".

Nakarmienia przed podróżą słońcą rybą, jedzeniemy zakratowanym pociągami w czasie upału, omdlewając z pragnienia. Po tygodniu tej jakże uciążliwej podróży zostajemy się na męską kwarantannę w mordowskiej ASRR. Tu lekarze zwracają na mnie uwagę jako na niepełnoletnią, dają dietę. Spytano, czy nie mam kogoś z rodziny w więzieniu, po czym jeden z lekarzy przynosi kartkę od mego ojca, znajdującego się w pobliżu.

Dopiero po miesiącu następuje wywóz do obozu kobiecego. Ojciec żegna mnie z daleka bez słowa, ocierając łzy - jak się później okaże na długich 6 lat. Kierunek wywózki był dla niego nieznany. Ja wiedziałam już, że obóz nasz będzie odległy od męskiego o 7 km.

Na nowym miejscu serdeczne przywitania przez więźniarki Polki. To one mnie ubierają, karmią i opiekują się jako najmłodszą i najmniejszą, drobną i chudą. Pracuję po przyuczeniu w miejscowej fabryce jako szwaczka. Czas pracy wynosi 6 godzin dziennie, a po ukończeniu 18 lat po 12 godzin. Normy wydajnościowe są bardzo wysokie, zbyt wysokie jak na osłabione organizmy kobiet. Za niewykonanie normy grozi srogi karcer, gdzie otrzymuje się już nie 600 jak poprzednio a zaledwie 200 gram chleba i litr wody na cały dzień. Pewnego razu wypchnięta przez towarzyszki niedoli z szeregu też zostaje za to ukarana pięciodobowym ostrym więzieniem, gdzie zimno dokucza jeszcze bardziej niż głód. Usiłuję usnąć na nagim cemencie, trzymając jeden but pod głową, w drugim zaś - obie nogi. Wyłania się trudność nawet ze zjedzeniem przydzielonego chleba: Działy z zimna są odrętwiałe, a zęby przez to boją, wydają się bardzo długie i jakby nieswoje.

W barakach również męczy nas zimno. Jesteśmy przykryte jedynie cienkimi kocami. Fufajkami nie wolno okrywać się, grozi za to kara. Po pracy można przejść się po obozie. W czasie jednego z takich spacerów dostaję od więźniarki Rosjanki jeden herbatnik z paczki. Długo go oglądam nie wiedząc jak zebrać się do skonsumowania tak niezwykłego rarytasu. W końcu kładę go na przydzielony chleb i zjadam ze smakiem. Święto. Rozmowy więźniów koncentrują się głównie wokół tematu - jak by tu najść się do syta, głównie chleba.

Wydawało się, że gorzej już być nie może, a jednak prawdziwe piekło widzę dopiero w szpitalu, gdzie trafiają chora na żółtaczkę. Codziennie wynosi się stąd około 20 zmarłych. Przyczyną zgonu jest przeważnie gruźlica płuc. Czym prędzej zgarniamy po nich koce. Praktycznie leczenie żadne nie istnieje, gdyż sprowadza się ono zaledwie do rozpoznania choroby przez miejscowego lekarza.

Następuje mój powrót do obozu. Zostaję już jednak skierowana do cięższej pracy niż poprzednio. Szwalnię mam zarzucaną na wydobywanie torfu. Norma jest bardzo wysoka. Znowu zachorowuję, tym razem na iszjas.

Nadchodzi rok 1953 i oto szybko rozprzestrzenia się wieść o śmierci Stalina. W obozie - najmiłsza z niespodzianek - chleba pod dostatkiem. Nareszcie. Aż trudno w to uwierzyć po tylu latach głodówki. więc bierzemy na zapas, ile się da.

Część obozu zajmują rosyjskie zakonnice tzw. mniszki. Ponieważ odmawiały pracy dla komunistów, jak mówiły - dla diabła, wyprowadzano je na mroź i polewano zimną wodą. Śmierć Stalina czczono pięciominutową ciszą, lecz mniszki w tym właśnie czasie biją prawosławne pokłony ze słowami: "Hospadi pomiluj, antichrist konczałsia".

W obozie znaczne ulgi: Zdejmują nam numery, można nosić swoje przydziałowe ubrania, za 8 godzin pracy otrzymujemy niewielkie wynagrodzenie. Jeden raz w miesiącu można napisać list, jeśli się ma do kogo. Za Stalina też obowiązywał ten przepis, ale wzór listu był wywieszony na tablicy i przy najdrobniejszej zmianie cenzura konfiskowała korespondencję. Wzór zawierał te słowa: "Kochani! Jestem żywy i zdrowy. Przyślijcie paczkę. Całuję."

W tym czasie ojciec mój odszukał nas poprzez Czerwony Krzyż, to też mogłam korespondować prawie z całą rodziną. Spotyka mnie jeszcze jedna radość: W nagrodę za dobre sprawowanie się i wyniki w pracy memu ojcu pozwolono na widzenie się ze mną. Przyjeżdża też komisja z Moskwy i w pierwszej kolejności zwalnia więźniów politycznych. Mnie zwalniają jako pierwszą z rodziny, po ośmiu latach pobytu w obozie i w więzieniach /1956r/. Powstaje nowy problem: dokąd jechać? Na szczęście znam kobietę, dla której w czasie wspólnej naszej "odsiadki" pisałam listy do syna znajdującego się na dalekiej północy, ostatnio na temat zwolnienia z obozu. Zdobywam się na odwagę i pytam w liście młodego człowieka, czy mogę do niego przyjechać, bo nie wiem co ze sobą począć. Dość szybko otrzymuję odpowiedź twierdzącą. Przyjechać mogę, ale on ani mnie ani swojej matki spotkać nie może, ponieważ wolno mu się poruszać jedynie w obrębie 100 km, z obowiązkiem częstego i stałego meldowania się. Cóż było robić. Wyruszam sama na daleką, nieznaną północ. Zatrzymuję się w mieście Inta. Tam poznaję bliżej mego przyszłego męża. Pobieramy się. Ślubu uziela nam w piwnicy ksiądz litewski przebywający na przepustce w polskiej rodzinie, a zatrudniony w obozie jako sprzątaczką. Chrzcili on też dziecko, które pojawiło się w międzyczasie. Następne rodzi się już w Polsce, dokąd przybywamy w 1957 roku.

Moja liczna rodzina jest już w tym czasie w połowie wymarła po taki silnych przeżyciach. Mój mąż też umarł młodo. A mnie ktoś zwrócił zdrowie stracone w okresie tej straszliwej tułaczki.